

Pomagać mimo wszystko

Anna Dymna między teatrem i wykładami w PWST większość czasu spędza z niepełnosprawnymi. Prowadzi rozmowy w programie telewizyjnym, „Spotkajmy się”, współtworzy Festiwal Zaczarowanej Piosenki i „Albertianę”, jest też... kierownikiem budowy dwóch ośrodków rehabilitacji. Jakby tego było mało, aktorka prowadzi fundację, która pomaga ludziom pokrzywdzonym przez los.

- Dlaczego zainteresowała się Pani losem niepełnosprawnych?

- Nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Dużo latwiej mają moje koleżanki, które są dla mnie wzorcami. Ewa Błaszczak ma chore dziecko i nikt jej o to nie pyta. Janina Ochojska sama jest niepełnosprawna. Otrzymała pomoc, więc też chce pomagać. Siostra Małgorzata tłumaczy się Bogiem. A ja? Jestem aktorką i... po prostu zostałam wychowana w poszanowaniu drugiego człowieka.

- A co miało wpływ na podjęcie wysiłków, jak np. organizacja festiwalu dla niepełnosprawnych czy prowadzenie Fundacji „Mimo Wszystko”?

- Ktoregós dnia skontaktowałam się z mną ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, o którym wtedy wiedziałam tylko tyle, że jego rodzina mieszka pod moją, że kiedyś został dość brutalnie pobity. Zaprosił mnie wtedy do Radwanowic koło Krakowa, do ośrodka dla osób niepełnosprawnych umysłowo, bym przewodniczyła jury w przeglądzie twórczości teatralnej.

Bardzo się balałam tego kontaktu, bo wcześniej nie znalazłam takich ludzi. Nawet kiedy widziałam ich z daleka, to zastanawiałam się, jak do takiego człowieka podejść, jak z nim rozmawiać. Ciekawość jednak zwyciężyła i pojechałam. Tam przeżyłam szok.

- Co się takiego wydarzyło?

- Zaczęło mnie do tych ludzi niesamowicie ciągnąć, zaczęłam z nimi tęsknić. Nagle okazało się, że oni są dla mnie zbawieniem w tym dziwnym, coraz bardziej nerwowym świecie, w którym jest tyle nienawiści. Ci ludzie okazali się oazą prawdy, czystości i szczerości. Zaczęłam coraz częściej jeździć do Radwanowic, do ludzi niepełnosprawnych umysłowo, po odrobinę normalności. Oni byli dla mnie odetchnieniem. Miałam nawet wrażenie, że to ja jeżdżę tam na terapię. I tak się zaczęło. A potem niezashłuzzenie otrzymałam Medal Brata Alberta, a ponieważ jestem ambitna, pomyślałam, że nic się nie ma za darmo. I wzięłam się do konkretnej pracy. Wymyśliłam wtedy Ogólnopolski Festiwal Osób Niepełnosprawnych „Albertiana”, który w tym roku odbył się już po raz siódmy...

- Od kilku lat jest Pani współautorką programu „Spotkajmy się” i prowadzi w nim rozmowy z poważnie chorymi.

- Prawdę powiedziawszy, ja nie umiem z nimi rozmawiać. Nie jestem ani psychologiem, ani terapeutą. Naprzeciwko każdej z tych osób stoję jak

przed osobną planetą, bo nie ma jednakowego klucza do każdego człowieka. Przed każdą z tych rozmów staram się pojechać do domu moich rozmówców, zaprzyjaźnić się z nimi. Chcę, aby mi zaufali. To są dziesiątki godzin pracy, zanim dojdzie do rozmowy przed kamerą. Potem są nagrania. Ci, którzy są w moim programie, zawsze chcą mówić o swojej chorobie, bo wtedy wtedy, po co to robią i czemu to służy. Podziwiam ich za odwagę, bo ja na planie często się kompromituję. Stykam się tam przecież ze sprawami, które mnie przerażają. Często nie wytrzymuję i zaczynam płakać albo przestaję w ogóle mówić. Zdarzały się sytuacje, kiedy to moi bohaterowie pocieszały mnie, mówili: „Aniu, nie płacz, proszę, uspokój się, wszystko będzie dobrze, bo życie jest piękne”.

- Zadaje im Pani na pozór proste pytania, ale wydaje mi się, że nie każdy z nas miałby odwagę o wiele z tych spraw zapytać.

- Czasami sama zastanawiam się, co ja bym zrobiła, gdybym miała na przykład

25 lat i padaczkę. Jak bym żyła? Przecież nie mogłabym pójść do teatru, do kina, na dyskotekę. Przecież gdybym zbliżyła się do mężczyzny, by go pocałować, mogłabym przecież mieć atak, bo teraz już wiem, że kobiety cierpiące na tę chorobę,

przeżywają takie rozterki. Muszę być człowiekiem, który stoi naprzeciwko drugiego człowieka i pyta go: „Co ci się stało, czy cię to boli, jak ty sobie radzisz?” Taka ma być ta rozmowa, bo wtedy jest prawdziwa i odsłania prawdę o tych ludziach. Uważam, że ten program to najważniejsza rzecz, jaką robię w życiu, bo daje on siły i nadzieję chorym. Usłyszałam kiedyś od jednego z krakowskich lekarzy coś, co mnie o tym przekonało: „My, lekarze, wiemy na czym choroba polega, my wiemy, jak ją leczyć, ale Pani wie, jak ona boli, lepiej od nas”. Bo ja rzeczywiście to wiem. Jestem w tym programie pewnego rodzaju medium, bo prowadzą go właściwie moi rozmówcy. Nie chcę być mądrzejsza od nich. Kiedy pytam ich przed programem, jakich pytań mam im nie zadawać, przeważnie słyszę, bym pytała o wszystko. Więc pytam, ale oni mają prawo nie odpowiadać. I nie odpowiadają, a to milczenie jest często lepszą odpowiedzią.

- Co Pani dają te spotkania?

- Dowiedziałam się mnóstwa rzeczy. Ci ludzie w młodym wieku widzą to, do czego człowiek zdrowy dochodzi, kiedy ma 70-80 lat. Wiedzą, jakie wartości są prawdziwe, są radośni i cieszą się każdą chwilą. W swoim programie słyszę również najpiękniejsze słowa o Bogu. Żaden ksiądz, żaden filozof nie może takich rzeczy sformułować. Są tacy, którzy z tym Bogiem walczą, bo są okaleczeni i nie mogą poradzić sobie z losem, buntują się. Są jednak i tacy, którzy wierzą i dzięki temu są szczęśliwi, a w Bogu właśnie znajdują siły, bo jak człowiek wierzy, to jest uratowany. Kiedy pytam: „Jak Pan to znosi, ma Pan 40 lat i małe dziecko i wie, że umrze?” A człowiek odpowiada mi spokojnym głosem: „Wiem, że będę krócej żył, ale to nie ma żadnego znaczenia. Oczywiście, smutno mi, że nie zobaczę mojego synka, kiedy będzie dorosły, ale to jest po prostu los”; potem dodaje, że znalazł ten spokój dzięki

Bogu. Ma żonę, dzieci i jest szczęśliwy.

- Oprócz programu telewizyjnego, prowadzi Pani również fundację. Jak doszło do jej powstania?

- Po jakiejś kolejnej nowelizacji ustawy o rehabilitacji i zatrudnianiu osób niepełnosprawnych okazało się, że 26 podopiecznych Fundacji Brata Alberta straciło prawo do warsztatów terapeutycznych. Znając tych ludzi wiedziałam, że zabierając im to prawo, właściwie w jakiś sposób odebrano im również sens życia. Ci ludzie są szczęśliwi, kiedy idą rano do pracy, budują, malują - każdy wyraża siebie w swojej miarę. Powiedziałam wtedy, że trzeba coś z tym zrobić, czyli... założyć fundację. Mimo że nie jestem żadną bizneswomen i obawiałam się czekania na legalizację, to już po dwóch miesiącach fundacja była zarejestrowana. Wtedy, w 2003 roku, do dyspozycji miałam tylko księgową i prawnika. Dziś zatrudniam ponad 20 osób, a to i tak jest mało, bo pracy

mamy bardzo dużo. I pomagamy nie tylko niepełnosprawnym umysłowo.

- Czy Pani zawód, z którego przecież Pani nie zrezygnowała, pomaga w prowadzeniu działalności charytatywnej?

- Aktorstwo to zawód, w którym staramy się zrozumieć drugiego człowieka. Aktor nie może potępiać drugiego człowieka, nie może się również przed nim zamykać. Musimy być otwarci na ludzi i właściwie cały czas zastanawiamy się, dlaczego człowiek postępuje w dany sposób, dlaczego kocha, dlaczego cierpi, dlaczego morduje. Grając rolę musimy je zrozumieć. Ten zawód uczy również słuchać i rozmawiać z drugim człowiekiem. Myślę, że również dzięki tej pracy udało mi się również odkryć właśnie tę przestrzeń, w której się teraz obracam.

- Czy korzystając ze swojego publicznego wizerunku można uczulić innych na problemy niepełnosprawnych?

- Każdy sposób jest dobry.

Oczywiście, dzięki temu, że jestem osobą publiczną mogę uruchomić wiele instytucji i kontaktów. Stąd moje festiwale „Albertiana” i „Festiwal Zaczarowanej Piosenki”, dni „Zwycięzca mimo wszystko”. Zależy mi na tym, by wszystko odbywało się na jak najwyższym poziomie, np. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, bo dzięki takim działaniom wprowadzamy osoby niepełnosprawne w centrum naszego życia. Jednak nie zawsze jest łatwo. Latami uczestniczyłam w różnego rodzaju aukcjach na rzecz osób niepełnosprawnych. Wystarczyło, że przez chwilę postaliśmy przy jakimś chorym, a wszyscy mówili, „jaka ta Dymna dobra”. Teraz bywa niestety tak, że ratując życie setek osób, robiąc mnóstwo rzeczy, tak już nie mówią...

- Tyle pracy... A czy ma Pani jeszcze czas dla siebie?

- Coraz mniej, ale nie żaluję...

Rozmawiała
Monika Obrębowska-Czwornóg



Powoli dobiega końca okres naszych rozliczeń z Urzędem Skarbowym. Nie musicie Państwo oddawać fiskusowi całej należności. 1 proc. tej kwoty możecie przekazać również Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko”, która jest organizacją pożytku społecznego.

Numery kont:

Bank WBK

65 1090 1665 0000 0001 0373 7343

ING Bank Śląski

70 1050 1445 1000 0022 7599 1459